

# Kozakiewicz, Mikołaj

---

## Najdawniejsze wspomnienia

---

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 9, 360-369

---

1995

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Najdawniejsze wspomnienia

Co można pamiętać po 72 latach życia z pierwszych 4 – 5 lat? Próbuję zebrać te okruchy wspomnień, które są czasami bardzo wyraziste, choć zawsze fragmentaryczne.

Miejsce urodzenia jako takie

Urodziłem się w Albertynie, małej osadzie leżącej niedaleko (10 km) od Słonima. Pamiętam, że Albertyn był siedzibą hrabiów Pusłowskich, który po wojnie 1920 roku nadzielili ziemią i pozwolili się budować na swoich terenach niektórym uciekinierom (lub jak mój ojciec – więźniom i jeńcom W.P. z Syberii). W Albertynie było jakieś jezioro, nad którym w parku białe mury „pałacu” hr Pusłowskiego. Pamiętam, że patrząc od mojego domu zawsze widziałem jezioro w dole. To znaczy, że mieszkałem na jakimś wzniesieniu, tuż obok cmentarza, o którym jeszcze będę pisał. Ochrzczono mnie w cerkwi prawosławnej, bo kościoła katolickiego nie było, a matka była prawosławna. Dopiero w roku 1994 w jakimś artykule zamieszczonym w „Gazecie Wyborczej” dowiedziałem się, że w Albertynie była francuska misja kościoła unickiego. I dopiero wtedy wyjaśniło się, dlaczego unicy księży mieli takie dziwne imiona, jak np. zapamiętane „otiec Markiel”, co było białoruskim odpowiednikiem „Marcel”. Pamiętam, że cerkiew była mała, murowana, ale białe wymalowana, bez dzwonnicy, przypominająca miniaturową bazylikę, raczej rzymską, niż orientalną. Miała zielony dach. W jakim języku odprawiano nabożeństwa i wagałszano kazania nie wiem, stąd wnioskuje, że nie po polsku, i po prostu ich nie rozumiałem.

Nic nie wiem o hrabi Pusłowskim; jedyny obraz jaki wrył mi się w pamięć, to obraz hrabiego z żoną przy nowym samochodzie. Był to biały otwarty kabriolet (nie wiem jakiej marki) ze zrolowanym dachem, koła miał z gęstymi szprychami podobnymi do rowerowych, tylko znacznie grubszy. I co mnie najbardziej fascynowało, wszyst-

kie dźwignie mosiężne (biegów i hamulca) miał na zewnątrz kabiny, zdaje się po prawej stronie. Hrabia stał obok samochodu w stroju sportowym i ochronnych okularach, a hrabina miała jakąś białą sukienkę. Był to pierwszy samochód, jaki pojawił się w Albertynie i pierwszy jaki ja widziałem w życiu.

W Albertynie był jakiś przemysł przed wojną, ale uległ w czasie wojny (1914? 1920?) zniszczeniu. Była więc papiernia, tartak i chyba fabryka zapalek (mówiło się o niej „Zapalczana”, iść do Zapalczanej” przechodzić obok niej itd). Pamiętam zburzone i wypalone budynki zarastające chwastami, choć nie potrafię powiedzieć co to były za fabryki. Coś jednak musiało być jeszcze w Albertynie, gdyż ojciec utrzymywał stosunki z dyrektorem (czegoś?), którego córką była Halszka Barańska, koleżanka szkolna mojej siostry. Z domu państwa Barańskich pamiętam tylko tyle, że w jadalni na ścianie wisiała ogromna głowa dzika z wielkimi „szablami” kłów, który dyrektor kiedyś ustrzelił, a ja się ogromnie bałem.

Do innych osób, z którymi rodzice moi utrzymywali stosunki należała rodzina Karpowiczów. Mieszkali oni w domu letnim, klasycznej, „usadźbie”, w której usadowili się po rewolucji 1917, gdyż pochodzili chyba z Petersburga. Głową domu był stary i chory „admirał Karpowicz”, którego w ogóle nie pamiętam. Pamiętam tylko jego wielki medalion (półmetry), zawieszony na ścianie, który przedstawiał go w mundurze admirałskim, jak też kilka marynistycznych obrazów, których autorów ani wartości nie potrafię ocenić. Była też pasjonująca mnie pozytywka – gramofon, którą nakręcało się korbką. I położywszy metalową płytę, z wystającymi ząbkami, można było przez 15 minut słuchać „Na stokach Mandżurii”, walce Straussa i wiele innych melodii, których nazw nie pamiętam. Byłaby to dzisiaj ozdoba każdego muzeum techniki odtwarzania dźwięku. Ponieważ w Albertynie, jak pamiętam, a w „usadźbie” Karpowiczów na pewno (nie było prądu) bo leżała poza osadą Albertyn (taki gramofon – pozytywka był prawdziwym skarbem). Do dziś także tkwią w pamięci charakterystyczne dźwięki tego urządzenia.

Dom państwa Karpowiczów leżał w środku dużego, ale zapuszczonego sadu. Pamiętam studnię z uczeptionym u łańcucha dzbankiem granatowym, nie więcej niż 5 litrowym, którym obie kobiety wyciągały wodę ze studni. (Admirał już nie wstawał z łóżka). Z tego dużego

i zarośniętego sadu zapamiętałem jedno drzewo, które rodziło jabłka gatunku „Aport”. Wydawały mi się ogromne ( w porównaniu z ówczesnymi wymiarami mojego ciała), wydawały się ogromnie smaczne. A ponadto miały jedną niepowtarzalną właściwość – dojrzałe, stawały się przezroczyste i patrząc na nie pod słońce można było zobaczyć pestki. Była to nasza stała zabawa z „aportami” i zapamiętałem ją, choć smaku tego jabłka już nie pamiętam.

Któregoś dnia admirał Karpowicz zmarł. Poszliśmy złożyć wyrazy współczucia obu krewnym. Chyba ze względu na mój wiek nie pozwolono mi zobaczyć zwłok admirała. Za to na zawsze wryły mi się w pamięć fioletowe zasłony z tiulu, którymi zasłonięte były wszystkie lustra w domu. One mi unaocznily, że stało się coś bardzo złego i smutnego. Obie panie towarzyszące admirałowi nosiły nazwisko Karpowicz, ale nie wiem jakie więzy pokrewieństwa je łączyły. Starsza Anfisa Gawriłowna, była ułomna garbata nie wiem czy z wieku, czy z choroby, młodsza Nadieżda Fiodorowna Karpowicz, była bardzo piękną, wysoką kobietą. Wiem, że była bezzenna. Bardzo ją lubiłem, podczas gdy do ułomnej, równie serdecznej pani Anfisy, czułem pewien dystans. Zapamiętałem, że pani Nadzieja, gdy zdarzyło mi się zepsuć powietrze, zawsze mówiła wyrozumiale: „Och, Koliczka czuwa-twuje czto zołotowoz z boczkoi projechał”. Moja matka rozmawiała zawsze z nimi po rosyjsku. Ja po polsku, ale nie mieliśmy kłopotów z porozumiewaniem się. W latach pięćdziesiątych pani Nadzieja odnalazła się w Górze Kalwarii w Szpitalu dla Nieuleczalnie Chorych, opiekowaliśmy się nią i odwiedzaliśmy, choć rzadko, razem z moją siostrą Angieliną. Na pogrzebie nie byliśmy.

Kolejnym przyjacielem domu był w Albertynie pan Zwieriew z żoną Eudoksją i córką Olgą. Były oficer carski a w tej epoce – Komendant Posterunku Policji w Albertynie. Miał psa policyjnego „Billa”. Z tym psem poszliśmy do cerkwi święcić jajka przed Wielkanocą. Ku naszej zgrozie Bill zjadł nam święconkę już po poświęceniu. Zaryczani wróciliśmy do domu, krzycząc od progów: „Bill zjadł naszą święconkę”. Trzeba było iść drugi raz do cerkwi, ale dramatyczna scena utkwiała w pamięci.

Tuż obok naszego domu znajdował się cmentarz, ukryty w lesie sosnowym. Pamiętam, że w nocy bałem się cmentarza, zwłaszcza w księżycowe noce. Z cmentarza tego nie zapamiętałem ani jednego

krzyża ani pomnika (może ich nie było?). Zapamiętałem jedynie niezwykle silny zapach macierzanki, porastającej małe, zapadnięte mogiłki, jak też sadzone na nich w kształcie krzyża tzw. w języku miejscowym „skoczki” (były to wielkości 5 cm jasnozielone rośliny, bezłodygowe, które wyrastały i leżały bezpośrednio na ziemi, podobne do dużych przyplaszczonych i rozgałęzionych szyszek). W okresie Wielkanocy, pamiętam, na wszystkich grobach składane w ofierze duszom zmarłym, pokrajane na ćwiartki pisanki. Nic więcej z cmentarza nie zapamiętałem.

Pamiętam, że między cmentarzem i domem była kilkumetrowa jama, całkowicie zarośnięta pokrzywami. Do tej jamy pewnego dnia wpadła moja o 8 lat starsza siostra Angelina. Nie zdołała wyhamować roweru, którym zjeżdżała dość stromą drogą, opadającą, jak pisałem wcześniej, aż do jeziora. Strasznie się poparzyła, pamiętam jej płacz, przerażenie Mamy, rejwach w domu. (Notabene – rower musiał być pożyczony, bowiem nigdy w domu nie mieliśmy roweru).

Od tej głównej ulicy, która wiodła od nas do jeziora i była tzw. drogą „szrotową”, która nie wiem jak się nazywała, odchodziły w bok wąskie, niebrukowane uliczki, które w okresie wiosennym i jesiennym zamieniały się w ulice rozdeptanego błota. Jedna z tych uliczek, wąska i idąca stromo pod jakąś górę, nazywała się „Jurzdyka”) akcent na „Ju”) Już jako człowiek dorosły zrozumiałem znaczenie tej nazwy, powstałej ze zbitki dwóch słów „jurydyka” i „jurysdykcja”. w wieku XVI – XVIII, określano tak obszary, które leżały na terenie miasta, ale nie podlegały władzom miejskim. Wówczas wiedziałem tylko, że ktoś mieszka na „Jurzdyce”, lub, że ktoś przychodził z „Jurzdyki”.

Z Albertyna mam również jedno wspomnienie polityczne. Odbywały się wybory do Sejmu. Wtedy na głównej ulicy Albertyna pojawiły się plakaty przedwyborcze. Jeden z nich zapamiętałem: przedstawiał marszałka Piłsudskiego, z wielkimi wąsami i z miotłą w rękę, ubranego tylko w koszulę i spodnie, który z rozmachem wymiatał dziesiątki kartek wyborczych z różnymi numerami partii wyborczych. Bardzo mi się ten plakat podobał, bo był zabawny. Wydarzenie to można dokładnie umiejscowić w czasie; było to w roku 1928 (po przewrocie majowym), kiedy miałem cztery i pół roku.

Jest rzeczą charakterystyczną, że w tych najwcześniejszych wspo-

mnieniach w ogóle nie ma Białorusinów, nie ma wspomnień o jakichś kolegach białoruskich, uczestników zabaw itd. Musieliśmy żyć w jakimś getcie złożonym z Polaków i białych emigrantów rosyjskich. Nie ma też w ogóle wspomnień związanych z Żydami, choć całe kresy były zamieszkałe do 40 procent przez Żydów. Pojawiają się one w moich wspomnieniach już po przeprowadzeniu się do Słonima, ale o tych wspomnieniach nie będę tutaj pisał.

### Mój dom rodzinny

Dom, w którym mieszkaliśmy, wybudował własnoręcznie mój ojciec. Samego procesu budowy nie pamiętam, byłem wtedy w wieku 1 – 2 lat. Ale pamiętam drewnianą formę do wyrabiania pustaków, o której przez lata mówiło się, że to właśnie tą formą tata wytwarzał budulec dla domu. Ja pamiętam dom już gotowy, ze sklepem monopolowym ojca na przedzie, gdyż jako inwalida wojenny 50 % miał koncesję na sprzedaż wytworów alkoholowych i tytoniowych. Pamiętam, że wejście główne do mieszkania było od tyłu domu. Nie pamiętam ile było pokoi i jaki był ich rozkład. Pamiętam jedynie, że w drzwiach prowadzących z mieszkania do sklepu było zakratowane okienko, mniej więcej 50x50 centymetrów. Krata jednak była drewniana więc jej wartość ochronna była problematyczna.

Ponieważ po towary ojciec musiał jeździć do odległego o 10 km Słonima, trzymał więc konia i miał w tym celu wóz drabiniasty. Pamiętam karą klacz „Tamarę”, starą i łagodną, która cierpliwie znosiła moje płatanie się pod nogami, nigdy nie zrobiwszy mi krzywdy. Od czasu do czasu jeździliśmy wozem ciągnionym przez „Tamarę” na niedzielne wycieczki. Wyraźnie pamiętam jedną z wycieczek w lasy pod Żyrowicami na grzybobranie. W pięknym wysokopiennym lesie, z plamami słońca tańczącymi po zieleni, w pobliżu jakiegoś potoku, lub rzeczki, o wodzie kryształowo tak czystej, że Mama czerpała z niej wodę na herbatę. Gotowała ją w czajniku na ognisku, które Ojciec rozpalił. Pamiętam też, że pod koniec dnia mieliśmy w półkoszu naszego wozu pełno grzybów, z przewagą rydzów. Sypało się je po prostu do tego półkosza, bo nie starczyłoby żadnych opakowań. Pamiętam również, że w tym przepięknym lesie, na jednym z drzew nad wodą wisiała ikona Matki Boskiej wieńczona przez ludność

kwiatami. Ale dlaczego takie były wyrazy kultu – nie wiem.

Po grzybobraniu przyglądałem się w domu, jak Mama i służąca Zośka (jedyna Białorusinka, którą pamiętam) solify rydze w beczułkach (każda o pojemności dwóch wiader), bo nikt nie miał siły zjeść na świeżo takiej fury grzybów. Jedna z beczulek, pamiętam, była pomalowana olejną farbą na czerwono. O wspomnianej służącej Zośce pamiętam jedynie, że była „przy kości” a łydki miała tak grube, że wręcz rozsadały cholewy butów, dochodzące aż do kolan. Te buty z cholwami pełniły, jeszcze jedną rolę w pracy Zośki. Codziennie wieczorem Zośka rozpalala samowar, na wieczorną herbatę. Lubiłem patrzeć jak położywszy węgli drzewnych do samowara codziennie zdejmowała jeden but i nałożywszy na kominiek samowara zaczynała go używać jako micha tłoczącego powietrze na rozpalające się węgle. Wydawała mi się bardzo interesująca, gdy tak skakała na jednej nodze w bucie, trzęsąc przy tym obfitym zadem i jeszcze obfitszymi pierściami.

Nic nie pamiętam z życia rodzinnego w Albertynie. Samowar jest punktem centralnym i jedynym. Ponadto pamiętam przyjazdy ojca wozem zaprzężonym w „Tamarę” z zakupami do sklepu. Towarów nie pamiętam, nie pamiętam także sklepu, ale pamiętam wygląd ojca, zwłaszcza w porze zimowej, gdy zsiadał z wozu z ośnieżoną czapką z czarnej skóry, miał oszroniony przy ustach szalik, oszronione brwi i wąsy, które nosił krótko przystrzyżone. Musiały to być zimy ostre, ale tego już nie pamiętam. Ojciec kładł na stole pistolet, stary, jeszcze syberyjski Mauser z drewnianą kolbą oprawną w drewno, na którym były wyraźne zadrapania, jak opowiadał ojciec, od rękojęści szabli, którą nosił z tej samej strony jeżdżąc na Syberii konno. Pamiętam, że bez tego pistoletu nie ruszał się w podróż. Nie raz dostałem po łapie, gdy usiłowałem dotknąć pistoletu. Być może zapamiętałem go właśnie dlatego.

### Białoruska czarna magia

Pisałem, że nie pamiętam Białorusinów, którzy stanowili największą grupę w Albertynie. Jednak jedyną Białoruską, która się nazywała Łokucicha (więc chyba żona Łokucia?) zapamiętałem bardzo dobrze ze względu na dramatyczne okoliczności. Bardzo wczesnie zaczęły się

u mnie objawiać symptomy nerwicy. Polegały one na tym, że leżąc w łódeczku ( lub koszyku?) w półśnie miałem natrętny sen – widzenie. Oto pod sufitem po przeciwległej stronie pokoju, w kącie, widziałem pajęczynę i pająka, ogromnego pająka, który snuł nić i obracając w kosmatych łapach związał ją w luźny kłęb, który po pewnym czasie upuszczał kierując do mnie. Kłęb ten sunął powoli, jak kula lawiny śnieżnej, stając się coraz większy, w moją stronę, aż w pewnym momencie, wchłaniał mnie. A ja, który przedtem tylko bałem się śmiertelnie, zaczynałem krzyczeć i głośno szlochać. Jeśli działo się to w nocy podrywałem cały dom na nogi, jeśli w dzień – odrywałem wszystkich od ich zajęć i kazałem zajmować się sobą.

Takie wizje miewałem natrętnie kilka razy dziennie. Pamiętam je dokładnie. Rodzice zaczęli szukać pomocy lekarskiej. Ale w Albertynie nie było lekarza, był tylko doświadczony felczer z armii carskiej (pan, chyba, Guziej?), który był całkowicie bezradny wobec takiej choroby. Najbliższy psycholog, lub psychiatra był w Wilnie, gdzie był Wydział Lekarski Uniwersytetu Stefana Batorego. Ale Wilno było podległe o kilaset kilometrów, a więc kosztowne. A po drugie jechać tak daleko z małym – kilkuletnim dzieckiem, w dodatku z kilkoma przesiadkami? Nie wiem, kto nakłonił moich rodziców do skorzystania z usług „znającej kobiety” Łokucichy. Pamiętam jednak wyraźnie procedurę „odczyniania”, lub „zamawiania” uroku, czy choroby. Pamiętam ciemną izbę Łokucichy, która najpierw rozżarzyła węgle drzewne na jakimś stole? piecyku? Potem rozebrała mnie do naga i wzięła na ręce. Musiałem być bardzo mały, bo choć była stara trzymała mnie bez trudu. Zaczęła na węgle sypać wolną ręką jakieś zioła, mruczając coś po białorusku (bo niczego nie rozumiałem), a kiedy z węgla zaczął iść dym gęsty i pachnący, ułożyła mnie jak polano na obu przedramieniach i poczęła zanurzać w tym dymie, nie przestając wciąż mamrotać niezrozumiałe dla mnie słowa. Pamiętam, że nie bałem się jej i byłem spokojny, choć nie grzeszyła ani wyglądem, ani ubiorem. Najdziwniejsze było to, że tego jednego zabiegu „odczyniania” czy „zamawiania” mojej dolegliwości wystarczyło, aby moje natręctwo z pająkiem i pajęczyną skończyło się jak nożem uciął. To zapewniło Łokuciszę wieczny ślad w mej pamięci. Choć do dzisiaj, prócz mętnych przypuszczeń, nic z tego nie rozumiem.



## Mój ojciec.

Poprzednio napisałem, że mało pamiętam z życia rodzinnego w Albertynie. W moim domu nigdy nie było żadnych awantur, żadnych wulgarnych słów, żadnych konfliktów między rodzicami. Była jednak jedna sprawa, która do dzisiaj tkwi w moim mózgu. Sprawa ABECADŁA.

Jedyną zabawką, którą pamiętam z tej epoki, były klocki drewniane przedstawiające różne zwierzęta. Szybko nauczyłem się je układać tak, żeby zobaczyć pełny wizerunek lwa, słonia, niedźwiedzia itp. Później klocki te służyły jako budulec dla różnych konstrukcji: pociągów z kominem, bram, murów obronnych itp. I ktoś kiedyś podsunął myśl, aby kupić mi „klocki Abecadło”. Nie miałem pojęcia jak wyglądało „abecadło”, ale nazwa mnie oczarowała. Spojrzałem z nadzieją na ojca, ten zaś powiedział, krótko: „tak, kupimy mu abecadło”.

Byłem uszczęśliwiony. I od tego dnia zaczęła się moja gehenna. Za każdym razem, gdy ojciec wyjeżdżał do Słonima na zakupy, marzyłem o tym, że przywiezie mi wymarzone ABECADŁO. Za każdym razem, gdy wracał, pytałem pełen napięcia czy przywiózł mi abecadło i za każdym razem odpowiedź brzmiała „nie”, „zapomniałem”, „nie miałem czasu”, „kupię następnym razem”, „nie było w sklepie” itd itd. Ciągnęło się to miesiącami. Abecadło urastało w mojej wyobraźni do rozmiarów jakiejś rzeczy niezwykle pięknej i pożądanej, której mi ojciec odmawiał nie wiadomo dlaczego. Narastał we mnie głęboki żal do ojca, nie raz płakałem z tego powodu. Wreszcie zrozumiałem, że nie dostanę abecadła i przestałem ojca nagabywać o nie. Ale żal i pretensja pozostały i w pewnym sensie określały mój stosunek do niego aż do jego śmierci w 1938 roku. Prawdę mówiąc nie wiem do dzisiaj dlaczego ojciec odmawiał mi abecadła. Czy uważał to za niepotrzebny wydatek, czy uważał, że jestem za mały, żeby uczyć się czytania i pisania? Czy też bawił się ze mną jak kot i mysz, podtrzymując przez wiele miesięcy nadzieję, nie mając zamiaru jej spełnić?

Wtedy byłyby to wyraźny rys sadyzmu i obojętności na cierpienia innych. Ale temu z kolei zaprzeczał stosunek do białoruskich chłopów, których zapamiętałem jako anonimowy tłum, przewalający się przez nasze mieszaknie, którym ojciec pisał podania i odwoływania do

władz skarbowych, do starostwa, do władz więziennych, gdyż chłopci nie znali polskiego, a po drugie w dużej części byli niepiśmienni. Pamiętam te prośby pisane na tzw. podaniowym papierze w kratkę, który ojciec wypełniał swoim regularnym, kaligraficznym pismem (był przed rewolucją 1917 roku księgowym, czyli „buchalterem”, jak się pod ówczas mówiło, i stąd miał to kaligraficzne pismo). Za swoją pomoc i pisanie podań Ojciec nie brał żadnych pieniędzy. Chłopcy odwdzięczali się wykonywaniem doraźnych prac w gospodarstwie, dostarczaniem jakiegoś kurczaka, lub taniej wykonując obstalunki ojca. Zapamiętałem tylko stolarza (nazywał się Pigas?), który wykonywał z własnego wysuszonego przez ojca dębu meble (krzesła, stojaki do kwietników itp). Były to meble bardzo trwałe, służyły nam ponad 20 lat bez żadnych poprawek, klejeń itd), aż do 1945 roku, kiedy repatriowaliśmy się z Wilna do Polski. Otóż zapamiętałem jak żywą scenę oddawania przez Pigasa (?) wykonywanych mebli. Moja Mama po rozliczeniu się z nim, zaoferowała mu pół szklanki wódki i talerz zimnych nóżek, pokrajanych na talerzu w kostkę. Pigas, nie wiem dlaczego, runął przed Mamą na kolana (musiał być już podpity) i całował ją po rękach. Mama wyrwała mu ręce, wreszcie zmusiła go, po wypiciu wódki, aby wziął talerz z zimnymi nóżkami i widelcem. Stojąc wciąż na kolanach Pigas starał się wbić pierwszą porcję zimnych nóżek na widelec, ale ta była sprężysta i skoczyła na podłogę. To samo zdarzyło się z drugą, wreszcie talerz przechylił się i cała zawartość talerza znalazła się na podłodze. Biedny Pigas zaczął beznadziejny pościg z widelcem za porcjami uciekającymi przed nim każdej próbie wbicia widelca. Ponieważ gonił je na kolanach scena była przekomiczna. Zapamiętałem tę scenę jak w zatrzymanym kadrze filmowym: wycinek czerwono malowanej podłogi, fragmenty mebli przywiezionych przez stolarza, on sam na kolanach polujący na porcje nóżek, i nogi mojej Mamy.

Takie są najwcześniejsze moje wspomnienia, jakie przechowałem z okresu do piątego roku życia. Wychowawcy i psychologowie, jak też socjologowie potrafią wyciągać z takich scenek liczne wnioski o rozwoju osobowości. Ja je podałem tylko jako dowód, że pamięć nasza sięga do samych początków istnienia. Niektórzy twierdzą, że sięga nawet okresu płodowego. Zgadzam się z nimi, choć nie przytaczałem wspo-

mnień, które wydają mi się oparte na okresie doznań w łonie matki. Zbyt są niejasne, i zatarte, aby mogły udowodniać cokolwiek.

*Czerwiec, 1995*

### Nota od redakcji

Drukowane tutaj **NAJDAWNIEJSZE WSPOMNIENIA** (1923 – 1928) Mikołaja Kozakiewicza stanowią część wstępu do **DZIENNIKÓW** autora, które pisał bez przerwy od roku 1940 – do 1992. Przepisane z inicjatywy Biblioteki i Archiwum Sejmu pamiętniki liczą w tej chwili około 2500 stron maszynopisu i stanowią depozyt sejmowy. Ponadto uległy przepisaniu „Zapiski poselskie z lat 1985 – 1993” (około 600 stron maszynopisu), stanowiące zapis treści odbytych rozmów z polskimi i zagranicznymi politykami. W odróżnieniu od tych dzienników pisanych na gorąco, w dniach opisywanych wydarzeń, autor postanowił poprzedzić je trzema opracowaniami pisanymi ex post, już obecnie na temat lat 1923 – 1940, kiedy jeszcze dzienników nie pisał. „Najdawniejsze wspomnienia” stanowią część I i dotyczą okresu urodzenia do roku 1928 (okres albertyński). Część druga (znajdująca się w pisaniu) obejmuje lata 1929 – 1933 i obejmuje „okres słonimski”. III i ostatnia część będzie obejmowała „okres wileński” w latach 1933 – 1940.